Rok IV.

Nr. 35. Nr. 35.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Przedpłata éwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 29 sierpnia 1874.

Xięgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

Niech żyje szlachta polska!

Niejednego z czytelników zadziwi ten napis, bo jest on z jednéj strony głosem tryumfu, — a z drugiéj strony stanie się głosem postrachu; w każdym zaś razie ten okrzyk dziś głoszony wydaje się niby jaki anachronizm, — lub co gorsza, — niby jakaś dążność do rozdwojenia ziomków na szlachtę i nieszlachtę.

„Wpływ szlachty polskiéj upadł!" jest dziś potajemném hasłem Bractw Wzajemnéj Adoracji nietylko we Wielkopolsce, ale i w Małopolsce, na Rusi, w Koronie i na Litwie.

W ustach hersztów tych Bractw brzmi on niby tryumf nad dawnemi stósunkami polskiego społeczeństwa, — niby skutek europejskiego postępu, wywołany przez wielką francuzką rewolucję, i ma równoważyć niby hasłu ówczesnemu: „Egalité, Fraternité, Liberté!" (Równość, Braterstwo, Wolność) dotąd jaśniejącemu na niektórych gmachach Francji.

Wykrzyk ten: „Wpływ szlachty polskiéj upadł!" jest atoli dla sprężyn tych Bractw, — dla właściwych wydrwigroszów i sobków — obłudną maską. Dla pierwszych jest on hasłem do wyzyskiwania prawych a miennych obywateli kraju. Równoważy on hasłu: „Chodźcie tu do nas ludzie rozumu, ażeby spożyć mienie głupców!" — Dla sobków nie pragnących bezpośrednio grosza, lecz raczéj znaczenia i władzy, to wyrażenie: „Wpływ szlachty polskiéj upadł!" jest hasłem wydarcia władzy opinji publicznéj właściwym przodownikom moralnym narodu, zafukanym trąbami i kotłami szajek Bractw Wzajemnéj Adoracji, — huczących à la Barnum humbugiem amerykańskim przy konjugacji: „Patrzcie tu!!!... Jam wielki, Tyś wielki, On wielki, My wielcy i tam daléj.

Dla czego to?

W przewybornéj powieści, a raczéj autobiografji w powieściowéj sukience Jana Lama, w tomie I na str. 114, wiersz 12 i n. od dołu, mamy na to zapytanie: „Dla czego to?" jasną odpowiedź, już w r. 1873 ogłoszoną.

„To jest klątwa niebios, która ciąży nad naszym nieszczęśliwym krajem; to jest ciemnota i lekkomyślność i głupota ogółu, — i oparta na niéj rachuba szalbierzy publicznych! U nas, kto raz pozorami uczciwości, dbałości o dobro powszechne i bezinteresowności, zręcznie nieraz użytym blichtrem poświęcenia, zyska mir i uznanie i sławę, ten staje się powagą, któréj nic oprzeć się nie zdoła, ten owłada wszystko! A im ciemniejszy świat w około, tém łatwiéj otumanić go i wodzić na pasku! Byle raz oszust stanął na piedestalu, złożonym z reputacji i fortuny, może kraść grosz publiczny, niszczyć wdowy i sieroty, rozbijać i rabować pod pozorami prawnemi, szkodzić ogółowi, ile zechce! — a wszystko ujdzie mu bezkarnie! Niech kto uczciwy i śmiały podniesie głos oskarżenia przeciw jednemu z takich fałszywych proroków, wnet cała ich szajka poznawszy, że interes wspólny jest zagrożony, stanie w jego obronie. Oskarżyciel, wśród oklasku głupiego motłochu, runie pod zarzutami kalumniatorstwa, bluźnierstwa, niekarności, pod ciosami grubéj i prostackiéj broni, przeciw któréj rozum, dowcip i uczciwość tylko u rozumnych i uczciwych ludzi popłacają!"

Co znaczy u nas w Polsce to wyrażenie: „szlachta?"

Nie jest to „dworak" ani w znaczeniu wyrazu francuzkiego żantijomm („gentilhomme" lub „noblesse"), ani w znaczeniu „edelmann" u Niemców, — bo tacy szlachcice czerpali całą swą władzę i swe znaczenie u władzy ukoronowanych osób, czyli u tronów. Ostatecznie przeciw tym „dworakom" podniesiono we Fran-

cji gilotynę, jak dawniéj w Niemczech chłopi podnieśli rzeź — dla nigdy u nas nieznanych nadużyć i pastwień się nad mieszkańcami miast i wiosek, którzy nie mieli przystępu do tronu.

Inaczéj było w Anglji, Włoszech i Polsce.

Tam nie było zkoncentrowanéj władzy osób panujących u tronu, — bo tam główną władzę dzierżyły senaty, rady stanu, magistraty, sejmy — i w grona tychże wchodziły zawsze świeże siły z ludu: uczeni wyniesieni naukami, kupcy handlem, żołnierze nawet z najniższych najemnych warstw społeczeńskich — odznaczeni męztwem lub użytecznością — rzemieślnicy. Zwłaszcza w Polsce szlachectwo musiało być potwierdzaném przez sejm — gdy je nawet król nadawał, — i w Polsce jedynie uszlachcano całe miasta i wioski, jak n. p. Powidz, miasteczko we Wielkopolsce, lub Szymborze, wieś w Kujawach, — nie mówiąc już o tém, że każdy mieszczanin stolicy Krakowa i rajcy wielu miast byli właściwą urodzoną szlachtą. W Krakowie tacy Wejgle, Fuchsy, Kremery, Kirchmajery, Dietle i t. d. dawniéj się jako szlachta polska potrafią wywodzić marmurowemi pomnikami, niż niejeden z najznakomitszych naszych hrabiowskich lub książęcych rodów, chociaż im dziś obce rządy odmawiają przedimka niemieckiéj szlachty „von“ albo francuzkiego „de“.

Szlachta polska nie ma tedy ani takiego małego, biernego zresztą znaczenia politycznego, jakie miała we Francji lub Niemczech, ani nie miała takich osobistych przywilejów jak pod temiż berłami, — ale był to zlew z wszystkich tak zwanych u nas stanów: rolniczego, rzemieślniczego, duchownego, wojskowego, — zlew biorący czynny udział w sprawach krajowych, niezawisły od tronu, — w znaczeniu raczéj francuzkiego porewolucyjnego: „citoyen“ i tém co dziś nazywamy pomiędzy sobą obywatelem, bezwzględnie na to kto go rodzi, lub czy ma herb czy nie, jak n. p. dziś Szułdrzyńscy, Kantak, Wolniewicze, Szumani, Palacz i setki innych rodzin, zasiadające na ławach poselskich i w naradach stowarzyszeń, — obok herbowych dawniejszych rodów.

Tak było u nas przed rewolucją francuzką i tak było po niéj, — a mianowicie w dawnych prawdziwie polskich czasach. Dla tego nieznacznego stopniowego przejścia pomiędzy robotnikiem w przeważnie rolniczym kraju — a magnatem, nie mógł się pod rządem autonomijnym w Polsce wytworzyć jakiś odrębny uprzywilejowany stan mieszczański, t. j. z wyjątkową autonomją dla miast, jak to się działo we Francji lub Niemczech; a nawet rodowa różnica i znaczenie zagraniczne herbowéj szlachty dopiero w miarę rozwoju rzymskiego katolicyzmu stawało się naleciałością obczyzny, płynącą do nas przez Rzym, w miarę wpływu na papieżów katolickiéj panującéj potęgi osobistéj królów lub książąt francuzkich lub niemieckich. Różnica ta u nas doszła do swego szczytu i to w miarę rozwoju potęgi zakonów rzymsko-katolickich, a mianowicie Societatis Jesu. Po upadku tego zakonu ta cudzoziemska naleciałość znikła zupełnie do tego stopnia, że aż po lata 1835 lub 1836 nie było u nas mowy o szlachcie lub nieszlachcie w znaczeniu herbowém i szanowano takich: Linde, Staszyców, Kilińskich na równi z Ossolińskimi lub Czartoryskimi jako obywateli czyli właściwie jako szlachtę polską.

Dopiero z emigracji ta cudzoziemska naleciałość znów się u nas pojawiła, zwłaszcza gdy Towarzystwo Demokracyjne Paryzkie uformowało się na wzór organizacji zakonu jezuickiego. Wtedy rzeczywiście i stanowczo wystąpił u nas jako polityczny wyraz ów niemiecki „szluk“ (schluck) „łyk“ i zawrzał okrzyk francuzki, u nas niedorzeczny: „à bas la noblesse!“ (niech giną dworacy!), który dla uzupełnienia owéj francuzczyzny z ubiegłego wieku, zastąpiliśmy inną znowu francuzką formułką, również u nas niedorzeczną: „niech żyją łyki!“ t. j. kupcy i fabrykanci zpanoszeni.

Zaczęto tedy szukać owych łyków!

W zapale tego postępowego pojęcia, ponieważeśmy właściwie łyków nie mieli, — znalazło się wielu niedowarzonéj szlachty polskiéj — co się rzeczywiście „złyczyli“, a zwłaszcza takich, co nie mieli majątku i osiedli w miastach, po urzędach sądowych, nauczycielskich, lub rzucili się do handlu i przemysłu.

Zamiast atoli pracować, uczyć się i doświadczać, — zaczęli oni od skutków dostrzeżonych u zbogaconych kupców i fabrykantów, a mianowicie u spekulantów łapigroszów à la Mirés, Pereira, Stroussberg — we Francji i Niemczech. To jest wyexkamotowawszy naprędce od szlachty polskiéj pieniądze na banki i fabryki, zaczęli ci płytkomyślni od używania, od życia bankierskiego, od tytułów i buty bankierskiéj, i to każdy taki złyczały ex-szlachcic, a zwłaszcza herbowy — nie mógł się obyć bez tradycyjnéj rodowo szlacheckiéj pijawki — bez żyda i prawdziwego łyka. Tak się działo w Koronie i Małopolsce, tak na Litwie i Rusi — i tak we Wielkopolsce i Prusach, — aż przyszła chwila rozczarowania się i żalu, z właściwém łyków przysłowiem: „Mądry Polak po szkodzie.“ Tego przysłowia właściwa szlachta polska nie zna.

Cóż my rozumiemy tedy pod temi wyrazami czysto polskim „szlachcic?“ — a co pod wyrazem cudzoziemskim „łyk“?

Na co? Dla czego? Jakiém prawem czynimy te różnice i to na pozór dowolnie?

To wszystko wypływa z pojęć wyrazów: cywilizacja i barbarzyństwo.

Cywilizacją nazywamy tradycyjne skarby jakiegokolwiek narodu wynikłe z uczciwéj pracy i wiedzy na moralności oparte, — a podawane jako doświadczenia i zasady z pokolenia w pokolenie dla szczęścia potomnych.

Cechy cywilizacji jakiegokolwiek narodu są tedy: tradycja i wzgląd na przyszłość.

Dziczą, barbarzystwem nazwiemy ten stan społeczeństwa, w którym nie ma względu na przeszłość, uważaną jako niebyłą, ani na przyszłość, — ale tylko na teraźniejszość i w niéj robota jaka taka dla chwilowego interesu!... „Co będzie, to będzie!“ „Po mnie niech i trawa nie rośnie, byle mi dobrze za życia było!“ Oto hasło tego bydlęcego stanu duszy i roboty.

Jeżeli szlachectwo polskie jest wynikiem cywilizacji, — i jako takie opiera się jak ona na tradycji, — toć każdy musi być szlachetnym czyli szlachcicem, kto w duchu swéj narodowéj cywilizacji pracuje, uczy się i doświadcza — dla potomnych.

Kto robi dla siebie, — drwi z przeszłości, — nie dba o przyszłość, — ten w polskiém znaczeniu tego słowa — jest łykiem.

Jeżeli zaś ze stanowiska cywilizacji zejdzie na stopień barbarzyństwa — te się złyczył.

A że na świecie nie ma przypadków ani skoków w rozwoju życiowém, — ale zawsze i wszędzie następstwa bezpośrednio wypływają z przyczyn, a życie narodów jak i żyjątek nie urywa i nie sztukuje się, przeto i szlachectwo jako wyrób życia narodowego czyli jego cywilizacji nie może być przypadkową naleciałością i urwać się nie może, a choćby zmieniło swe dawne zewnętrzne znamiona, żyć będzie jako treść, jako ciało narodowe póki tylko starczy narodu.

Pasożytem zaś narodowym jest każde barbarzyństwo, t. j. coś obcego, naleciałego, wedle dawnego pojęcia tego słowa u Greków i Rzymian, a takiém pojęciem jest ów „szluk“ (schluck, roturier) „łyk“ i jako coś nienarodowego przyjmujemy ten wyraz do naszego narodowego pojęcia, — nadajemy mu prawo obywatelstwa — dla rozróżnienia prawych Polaków, znających

dzieje narodu i jego rozwój cywilizacyjny narodowi właściwy, — od tych co mówią po polsku i między nami urodzeni, a żyją cywilizacją nie narodową, t. j. nie znają ojczystych praw bytu, ale jakieś obce zagraniczne, — i działają pomiędzy nami — jako cudzoziemcy, plątając nasze prace, bałamucąc naszą wiedzę, nie wierząc w nasze doświadczenia, nie dbając o nasze tradycje.

Dla takich to łyków „wpływ szlachty polskiéj zginął“, ale dla nas: „wpływ szlachty polskiéj objawia się w Opinji publicznéj i dzięki Bogu, wpływ ten uszlachcania się ludu wiejskiego n. p. w okolicach Żnina, w Kościańskiém, w Prusach i t. d. o tyle jaskrawiéj się odbija, o ile łyczeją nasi bracia po miastach. To jest przez wpływ szlachty polskiéj nie zafukanéj, nie obałamuconéj miejską barbarzyńską wrzawą — szlachetnieje ludność wiejska, a demoralizuje się po miastach i miasteczkach, gdzie tego wpływu nie ma.

Niech więc łyki chwilowo tryumfują, — my za Krasińskim z przeświadczeniem powtórzymy:

„Przeciw piekłu podnieść kord!
Bić szatanów czarny ród!
Lecz nie nęcić polski lud
By niósł szlachcie polskiéj mord!
Marne wrzaski, — próżne mowy!...
....
....
Wszystko, wszystko, wiecznie, wszędzie
Rwie się w górę, z Bożéj myśli!
Z wiecznym Bogiem ten nie będzie
Kto inaczéj świat swój kreśli!
Kto nie zszlachcić chce ród cały
Ale szlachtę odrzeć z chwały;
Może chwilkę w gruzach siędzie
Braci zchłopi lub obali
Lecz nie wzniesie ludu daléj, —
Bo wszechświata prawom wbrew
Sennych zbudzi, — nie na ludzi
Zbudzi sennych, — na zwierzęta!
Zamiast świateł wielkiéj burzy
Ujrzy ziemskiéj dno kałuży
I w niéj polską, spiekłą krew!
....
Niczém Sybir — niczém knuty
I cielesnych tortur król,
Lecz narodu duch otruty
To dopiero bólów ból!...

Dla nas każdy szlachcicem, kto z dumą swéj dziatwie opowiada o cnotach swych przodków herbowych czy bez herbów, czy on pracuje za warsztatem, czy za kantorem, czy za pługiem, czy w karecie, — kto z miłością patrzy w przeszłość, kto wypełnia sumiennie wszystkie swe obowiązki rodzinne i krajowe i choć w twardym trudzie — zapomina o dolegliwéj teraźniejszości, pracując, ażeby przyszłe pokolenia szczęśliwiéj przeżyły swe życie. Taka szlachta polska niech żyje!...

Wł. hr. Chotomski.

Rodzina węglarza,

przez **W. I. B.**

(Ciąg dalszy).

XI.

Nazajutrz — słońce wstawało jak zawsze,
Kwiatki tak samo ze snu się budziły,
Ptaki tak samo pieśń swoją nuciły,
Wszystko się działo jak codzień, jak wczora,
A jam myślała że niebo łaskawsze
Od strasznéj chwili owego wieczora,
Na świat zarzuci jaką ciemną chmurę,
By światło matki nie raziło oczu;
Aby, gdy spojrzy czy na dół, czy w górę,
Na barwy w dole, na blaski w przezroczu,
Nie bił w jéj lice, nie padał na skronie,
Nie wisiał nad nią ten blask aureoli,
Co choć ozłaca, zdobi — przecież boli.

Nawet twarz męża trudem poorana,
Gdy oświeciło ją światło otuchy
Wzrok mój raziła. On marzył od rana,
Że może Pan Bóg resztę mu zachowa
Za śmierć jednego, co wszedł między duchy.
Że może starca posiwiała głowa
Raz drugi skroni w prochu nie zanurzy!
Że może przeszedł huragan téj burzy.
A myśl i ręka zawsze pracowita,
Zaczęła chwytać zaradcze sposoby,
By tamę rzucić na ból ten i groby.
A jak w człowieku myśl z myśli wykwita,
A wszystkie w jedną stronę się kierują
I wszystkie w jeden węzeł się krępują,
Choć rozstrzelone w różne dążą strony;
Tak tutaj — wszystka duszy moc i siła
Zeszła się w jednéj potrzebie obrony.
I marzył starzec! jam już nie marzyła!

XII.

Oni tak byli jaśni po tym gromie;
Tak im się twarze bólem promieniły,
Jakby ich dusze stały na wyłomie
Między cierpieniem a wieczną rozkoszą
I w téj rozkoszy cierpieniem tonęły.
Jam tylko jedna stała bez wyrazu!
Ni piersi moje łkaniem się podnoszą,
Ni łza odwilży me powieki z głazu,
Ani westchnienie o ciszę potrąci,
Ani głos żalu spokoju nie zmąci.
Jam jedna stała spokojna i cicha!
W téj ciszy życie rośliny wysycha,
Palą się trawy, pieśń staje się głucha,
Bo taka cisza, to straszna posucha;
Bez łez kropelki — bez wstrząśnień, bez ducha!
To kamień twardy nad grobem! to bryła!
Oni marzyli, jam już nie marzyła,
I twarz ich prawie wstrętną mi się stała;
Dziewczyna moja od téj smutnéj chwili
Noc przepłakała i dzień przepłakała;
Nie płaczem, który pierś ludzką rozdziera,
Lecz cichem łkaniem, co jęczy i kwili,
A łzami — źródło pociechy otwiera.
A taką była jasną i świetlaną,
Gdy z twarzą smutną, tęschną, zapłakaną
Wprost Matki Bożéj stawała obrazu

I modre oczy w jéj oczach topiła...
Ach! jam nie była tak jasną ni razu
Odkąd na sercu mém wzrosła — mogiła!
Ona marzyła! Bóg wie co się roi
Po młodém sercu i po młodéj głowie
Nawet wśród bólów, trosk i niepokoi.
Może marzyła, że na jéj ramieniu
Zasiadł gołąbek i w cichéj osnowie
Grucha o życiu i o poświęceniu.
A ten gołąbek, to dusza skrzydlata,
Co wczoraj sine ciało opuściła;
Jeszcze po chatce grucha — nie odlata.
Może o rzeczach niebieskich marzyła;
Może ten gołąb cicho ją przyzywa
Do swego raju, gdzie szczęsny przebywa,
Może... I zdało mi się, że z za łezki
Po twarzy rozlał się uśmiech niebieski —
I jam twarz od niéj z wstrętem odwróciła.
A ona — nawet się nie poskarżyła
Na serca mego marmurową ciszę;
To był aniołek niebieski! Schylona
Z łzami się modli i dziecko kołysze;
Od dziecka wzrokiem do obrazu sięga,
Jakby tam siłę czerpała dla łona,
Jakby dla ducha jéj ztamtąd potęga
Płynęła święta. Gdy dziecko zapłacze
Ona podnosi je milcząc z kołyski
I na kolanach go moich układa.
Twarz dziecka była tak jasna, tak blada!
Tak smętna, taka nie ziemska! Zadrżałam!
Szybko schwyciłam go w moje uściski
I zapłakałam! A maleńkie ciało
Nagle się wstrząsło i lekko zadrżało;
Potém zamierać poczęło bez jęku,
Jak kwiatek ścięty. Ach! ja zrozumiałam!
Tak samo syn mój umierał w mém ręku;
Tylko tam bóle wnętrze mu targały,
A puls i serce wolniéj zamierały,
Bo siła była większa. Tutaj lekko
Śmierć przychodziła: już się pod powieką
Skrywały oczy — już serce przycicha,
Już śmierć się w twarzy rozpościera sina,
Już coraz wolniéj pierś dziecka oddycha
I coraz słabiéj — aż zcichło jak w trumnie.
Jagoda z płaczem rzuciła się ku mnie
Blada jak widmo, drżąca jak kalina.
— A ojciec? — Wielkie są cierpienia żony,
Kiedy trup dziecka u stóp jéj złożony,
A ona we drzwi z rozpaczą spogląda
Bo temi drzwiami wejdzie ojciec syna
I może dziecka od matki zażąda;
A ona wskaże mu na czarne mary!
Nie masz straszniejszéj na świecie ofiary,
Ciemniejszéj grozy! Jam w téj grozie stała,
W obec téj chwili i — jam nie skonała!

XIII.

Mąż mój był w mieście. Wszystek grosz zebrany
Wziął z sobą mówiąc: — Przyniosę wam życie.
A w myśli jakieś ukartował plany,
Bo nawet uśmiech na poły różany,
Na poły smutny wił się po téj twarzy,
Jak wierne duszy cierpliwéj odbicie.
Taki się uśmiech po twarzy rozlewa,
Takim uśmiechem serce ludzkie marzy,
Gdy jeszcze w życiu czegoś się spodziewa.
Ten uśmiech był mi z lat dawnych znajomy;
Pomnę godzinę, gdym próg mojéj chaty
Raz pierwszy jako żona przestąpiła.
Takim uśmiechem, co odpędza gromy,
Mąż mnie powitał wiodąc w nowe światy.
Ten uśmiech — jako duch-anioł skrzydlaty,
Wiódł mnie do celu o jakim marzyłam,
Wił się po chacie przez lat dwie dziesiątki
Dzisiaj — w mém sercu odświeżał pamiątki
Z lat dawnych, chwilę tę pierwszą — to zorze
Szczęścia, miłości! Kwiat złoty, pamiętny —
Kwiat marzeń moich! O! zlituj się Boże!
Jak mi ten uśmiech dziś wydał się wstrętny!
A w téjże chwili stanął mi jak żywy
Przed okiem. Wkrótce mąż z miasta powróci,
Niosąc nam środki zaradczéj obrony;
Może powraca wesół i szczęśliwy!
Jakąż nowinę usłyszy z ust żony?
Nigdym go z taką wieścią nie witała!
Raz pierwszy dzisiaj dłoń ma bez litości
W serce kochane pocisk bólu rzuci;
Raz pierwszy! Dłoń ma wstrzęsła się, zadrżała,
I z łona mego opadła na ziemię,
Jakoby świadcząc o swéj bezsilności.
Próżno! Choć wieść ta w milczeniu zadrzemie,
Przecież uderzy! a cios będzie pewny,
Jak gdyby była z żelaza lub gromu.
Wybiegłam z jękiem nieprzytomnym z domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnicza szkatułka.

Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu

przez

E. z Kurowskich Puffke.

(Ciąg dalszy.)

— O ja wiem droga siostro, że ty daleko większą sumą okupiłabyś jego wolność. Lecz chciałam tylko powiedzieć, że i pod tym względem nie ubliżył ci, kiedy nie wiedział od kogo te pieniądze pochodziły. Cieszmy się więc z jego wolności. Nam on już i tak nic nie mógł pomódz.

Łagodna Rozalja, zawsze gotowa do przebaczania i do uniewiniania, daremnie usiłowała łagodzić Łucję. Ta obstawała ciągle przy swojém zdaniu, że doktor nie powinien był opuszczać ich w tém położeniu. Widać było, że gniew ten czerpała w źródle wzgardzonéj miłości. Dyrektor byłby mógł tryumfować, gdyby był widział, jak dobrze mu się udało zohydzić rywala w oczach bogatéj hrabianki. Teraz miał rzeczywiście otwarte pole, znajdowała się bowiem teraz w usposobieniu, w jakiém już niejedna kobieta oddała rękę człowiekowi niekochanemu.

Nazajutrz po téj wiadomości o odjeździe doktora Kolaczek do Ameryki, Rozalja i Łucja udały się do więzienia hrabiego.

Więzienie to, dawniejszy klasztor, było otoczone wysokim murem. Pomiędzy tymże a gmachem było przestronne podwórze, ocienione wysokiemi drzewami, używane za miejsce przechadzki dla więźniów. Część

gmachu przeznaczona dla obłąkanych, była w lewém skrzydle, którego okna wychodziły na ogród. Było to najładniejsze miejsce w całém zabudowaniu. Bluszcz i dzikie wino okrywało mile swą zielonością ponure kraty, otaczające okna więzienia. Klomby kwiatów roztaczały swe wonie aż do pokoi na pierwszém piętrze. Ogród był jak najstaranniéj utrzymywany i nie przypominał w niczém smutnego swego przeznaczenia.

Tutaj więc hrabia Rikoczy był dość dobrze umieszczony.

Rozalja i Łucja, ubrane czarno, przeszły z spuszczonemi na twarz welonami podwórze i wprowadzone zostały przez odźwiernego na pierwsze piętro, na którém znajdował się pokój hrabiego. Gdy weszły, hrabia siedział przy stoliku, zajęty klejeniem pudełka z tektury Wyglądał bardzo cierpiąco. Za nimi przyszedł zaraz inspektor.

— Dzień dobry, kochanie Almanie, rzekły prawie razem żona i siostra. Jakże się miewasz tutaj?

Hrabia podniósł się z poruszeniem, w którym można było spostrzedz niejakiś wyraz zuchwałości, lecz spostrzegłszy żonę i siostrę, spuścił głowę i usiadł napowrót.

— Czy ci lepiéj drogi mężu? rzekła Rozalja ściskając jego rękę.

— O jestem bardzo rad, rzekł hrabia z uśmiechem zadowolenia, bo już kończę to pudełko, o które mnie ciągle pytają.

— I dziś znów przybywamy pytać ci się o nie, rzekła Łucja.

Hrabia spojrzał na nią obłąkanym wzrokiem i nic nie odpowiedział. Potém obie panie usiadły przy nim. Inspektor zaś był tyle delikatnym, że usiadł w framudze okna, zkąd niewidziany mógł nieprzeszkadzać rozmowie pomiędzy hrabią i paniami.

— Patrzcie, mówił znów hrabia, pokazując z dziecinną radością pudełko z tektury. Czy to nie taka sama szkatułka jak ta, którą ciągle odemnie żądacie?

— Bardzo ładna, odpowiedziała Łucja, ale to nie jest ta, którą chcemy od ciebie.

— Znowu nie ta? rzekł obłąkany z niejakiém zdziwieniem. Alež powiedzcie mi przecież jak tamta wyglądała?

Rozalja opisała mu z anielską cierpliwością po raz tysiączny szkatułkę zgubioną.

— Dobrze, dobrze, rzekł znów hrabia, każemy wyłożyć ją z wierzchu perłową macicą a w środku srebrem i będzie taka sama

— Ale te papiery, kochany Almanie, co w niéj były, gdzie one się podziały?

— Te papiery połknął Cezar, rzekł hrabia tonem zupełnéj pewności. Pewno ta bestja pochorowała się od nich. Ale mu to dobrze! Wolę Merlina, to jest spokojne zwierzę, pozdrów go Łucjo odemnie.

— Namyśl się, kochany Almanie, powiedz coś zrobił z temi papierami co były w szkatułce, rzekła błagalnie Rozalja. Musimy je wynaleźć koniecznie, aby cię wyleczyć.

— Przecież ja jestem zdrów zupełnie, starajcie się tylko, żeby Cezar nie zdechł.

— Dobrze, dobrze, ale powiedz gdzie są te papiery! Potrzeba ich, abyśmy mogli znowu żyć swobodnie i szczęśliwie.

— Czyś ty smutna lub chora? rzekł hrabia; poradźże się doktora Kolaczka, wszakże on Karolinę doskonale wyleczył.

Te słowa, chociaż wymówione w obłąkaniu, ubodły boleśnie Łucję.

— Ty sobie chciałeś z nas zażartować, kochany mężu, i przekryłeś tę szkatułkę, odezwała się Rozalja. Wiemy już o tém, ale oddaj ją już teraz.

— Nie dręcz mnie Rozaljo, rzekł hrabia z błyszczącemi z niecierpliwości oczyma.

— Nie, nie ty się dręczysz sam Almanie tém przekrywaniem, odrzekła Rozalja głaskając go czule po głowie.

— Jakież to utrapienie z temi kobietami, mruczał hrabia. Jedna pozostawiła mi szkatułkę i tém mnie zamęczyła, druga męczy mnie znowu, że ją chce dostać odemnie. Jak ty umrzesz Rozaljo, wezmę trzecią żonę, ale pod tym warunkiem, że mi da pokój z wszelkiemi szkatułkami.

To była ironijna odpowiedź człowieka przy dobrych zmysłach. Rozalja, przywykła już do takich rozpraw, umilkła, i na tém zakończyły się ich odwiedziny. Z boleścią niewysłowioną w sercu, z zapłakanemi oczyma opuściły więzienie z tém przekonaniem, że nic nie będzie można wydobyć z hrabiego, co zrobił w téj nieszczęsnéj nocy z szkatułką.

W tym samym czasie pisał Juljusz Melville list do swego berlińskiego korespondenta, charakteryzujący usposobienie stronnictwa skarżącego:

„Proces kryminalny, po którym spodziewaliśmy się wykrycia uczynionego nam oszustwa, zdaje się iż spełznie na niczém, pisze Melville. Oskarżony jest ciągle obłąkanym — lub udaje doskonale rolę takowego. Dyrektor, któremu powierzono prowadzenie śledztwa, postępuje z nie do darowania wielką grzecznością dla rodziny hrabiowskiéj, która wszelkie nasze usiłowania niweczy. Dozwolił umknąć doktorowi Kolaczek, którego jako wspólnika hrabiego uważać było można. Żona i siostra hrabiego nie są aresztowane i mogą dowolnie widywać się z obłąkanym. Ten zaś siedzi jak najwygodniéj w domu obłąkanych, nie uczuwając bynajmniéj srogości więzienia, któreby go może do zmienienia swéj roli zmusiło. Dyrektor chce go widocznie oczyścić z wszelkiego podejrzenia, bo jest zakochany w hrabiance Rikoczy, czego się zaraz z początku obawiałem. Przed kilku tygodniami przejeżdżał się codziennie w łódzce po rzeczce, która płynie pod oknami gdzie mieszkają hrabiostwo. Uważałem to z ogrodu przyległego i nie mógłem się nieraz wstrzymać od śmiechu z starego, rozkochanego głupca, który udawał jak gdyby szukał czegoś w wodzie, a przytém spozierał ciągle w okna, czy nie ujrzy w nich pięknéj hrabianki.

Rozmówię się jeszcze z lekarzem sądowym czy się nie da co zrobić, a jeśli nie, to odjadę z F... nie czekając dopókąd procesu nie odłożą do akt — co nastąpi nieomylnie, jeżeli hrabiemu będzie się podobało pozostać obłąkanym.

Nie chcę się dłużéj dać wodzić za nos warjatowi i rozkochanemu głupcowi, i żałuję tylko pieniędzy i czasu, które dla téj sprawy straciłem.“

Z tego listu pełnego żółci, jedno tylko uderzające było zdanie, tyczące się przejażdżek wodnych dyrektora, które agent, pomimo swéj przebiegłości, kładł tylko na karb rozkochania tegoż. My wiedząc co doktor Kolaczek sądził słusznie o tém, w jaki sposób zaginęła szkatułka, możemy się domyślać czego innego, to jest, że dyrektor miał ważniejsze przyczyny do przejażdżek, że może szukał zaginionéj szkatułki, wiedząc, że ta dostawszy się w jego ręce, najlepiéj dopomogłaby mu do osiągnienia ręki pięknéj i bogatéj hrabianki.

Juljusz Melville nieomieszkał udać się do doktora sądowego, by się stanowczo dowiedzieć o stanie hrabiego. Gdy ten zaręczył mu słowem honoru, że hrabia nie udaje bynajmniéj obłąkania i że trudno przewidzieć czy i kiedy powróci do zmysłów, wyjechał niebawem do Paryża, by swemu stowarzyszeniu zdać sprawę z poczynionych w jego interesie kroków.

Tak więc dyrektor pozbył się i tego niewygodnego dręczyciela, który go ciągle do działania w sprawie przeciwko hrabiemu napominał.

Pewnego poranku, kiedy Łucja sama była w domu, a Rozalja poszła odwiedzić hrabiego, Weronika weszła do pokoju z oznajmieniem, że pan dyrektor przybył w odwiedziny. Łucja po chwili wahania się, kazała poprosić go do salonu.

Po rozpromienionéj twarzy, z jaką dyrektor Łucję powitał, łatwo było poznać, że ma coś pomyślnego do powiedzenia. Był przytém ubrany jeszcze staranniéj niż zwykle, zdawał się więc odmłodzony o lat kilkanaście. Z początku rozmawiał o rzeczach potocznych, lecz nakoniec zaczął zbliżać się powoli do właściwego celu swych odwiedzin.

— Pracowałem temi dniami bardzo pilnie w aktach, rzekł, aby doprowadzić jak najspieszniéj do końca śledztwo w sprawie brata pani.

— Więc będziemy wkrótce uwolnione z téj męczącéj niepewności? rzekła Łucja ciekawie.

— Zapewne, o ile to odemnie zależeć będzie.

— A jakiż będzie rezultat śledztwa?

— Jeszcze sam nie wiem jakie mam zrobić sprawozdanie do wyższego trybunału i jaki podać wniosek, odpowiedział dyrektor spoglądając miłośnie na Łucję. Wierzaj pani, że i sędziowie wahają się w swych mniemaniach. Tylko wtenczas gdy myślę o smutku i cierpieniach pani, chciałbym koniecznie powrócić wolność hrabiemu, chociażbym przez to na siebie ściągnął surową odpowiedzialność. Odważyłbym się na wszystko, byle tylko panią widzieć szczęśliwą i swobodną. Nawet głos surowéj sprawiedliwości milczy wtenczas — bo mówię jéj w duchu — cokolwiekbądź zaszło, zostało już dostatecznie ukaraném przez okropną ciemność, w którą pogrążone są zmysły brata pani. W sferze takiéj jak nasza, karze się często samo przez siebie to, co w niższych sferach prawami karane bywa.

— Więc pan zamierzasz uwolnić mego brata? zawołała Łucja z radością.

— Rezultat śledztwa nie zezwala właściwie na to.

— Więc jest jeszcze podejrzanym?

Dyrektor wzdrygnął ramionami.

— Ależ droga pani, rzekł po chwili milczenia, prawdy nikt tu dociec nie zdoła. Zależy więc od przedstawienia całéj téj rzeczy, Można ją przedstawić tak upiększoną, że straci wszelką brzydotę — ale do tego trzeba natchnienia, trzeba serca które czuje prawdziwe przywiązanie do osób mających udział w téj sprawie. A gdyby jedno spojrzenie pani błysnęło mi nadzieją, dodał z westchnieniem, — nadzieją, że moja miłość nie będzie ciągle wzgardzaną, wtenczas znalazłbym pewno środki do wyprowadzenia brata pani z tego labiryntu, do którego Bóg sam wie co go wtrąciło.

Te śmiało i z zapałem wymówione słowa nie zrobiły tak przykrego jak dawniéj wrażenia na Łucji, bo widziała w nich nadzieję uwolnienia brata. Żywy rumieniec oblał jéj lica, lecz nie była w stanie nic odpowiedzieć.

— Bo trzeba pani wiedzieć, mówił daléj dyrektor, że zależy tylko odemnie, aby brat pani, uznany za nieuleczenie obłąkanego, wypuszczony został na wolność, i uczynię to z pewnością, jeżeli ręka pani będzie za to moją nagrodą.

Łucja wstała i w niezmierném wzruszeniu podała milcząc rękę dyrektorowi. Ten złożył na niéj gorący pocałunek i zawołał z zapałem:

— Tak dzisiaj jeszcze powróci brat pani do swego mieszkania. Ale państwo pozostaniecie tu jeszcze w F... przez niejakiś czas? nieprawdaż, dodał błagalnym głosem.

— O zapewne! odezwała się Łucja z żywością. Mój brat musi koniecznie wypocząć, nim się z nim w inne udamy strony. O jak się moja bratowa ucieszy! dodała z rozrzewnieniem.

— A jak ja czuję się szczęśliwym, iż mogłem paniom uczynić tę przysługę, zawołał dyrektor. I pobawiwszy jeszcze czas niejaki, pożegnał się z miną dumną i uszczęśliwioną wysłuchanego kochanka.

Jeszcze tego samego dnia przywieziono hrabiego do domu. Żona i siostra byłyby zupełnie szczęśliwe, gdyby nie to, że hrabia był ciągle obłąkany i że jego niewinność nie była bynajmniéj udowodnioną. Łucja poświęciła się chętnie dla brata, jéj serce tak było zobojętniałe na wszelkie uczucia miłości od czasu gdy została opuszczoną od przyjaciela swego dziecęcego wieku, że oddawała rękę dyrektorowi bez zbytniéj goryczy, czując się zobowiązaną dlań uczuciem wdzięczności. Łucja widziała wprawdzie, że w jego postępowaniu leżało wiele samolubstwa, lecz znajdowała to rzeczą dość zwykłą, że większa część ludzi działa tylko za popędem własnego interesu. Wszakże ideał, który sobie w tak pięknych wymarzyła barwach, znikł był dla niéj na zawsze!...

(Dokończenie nastąpi).

Michał Piotrowicz Pogodin.

(Dokończenie.)

Najgłówniejszém zadaniem jakie sobie Pogodin położył, było napisanie historji powszechnéj, któraby była przystępną tak dla każdéj klasy szkolnéj, jako i dla wykształceńszéj publiczności, i żeby była odpowiednią słanowisku dzisiajszéj krytyki Aby się temu przedsięwzięciu mógł całkowicie poświęcić, podziękował za miejsce przy uniwersytecie i przedsięwziął udać się nad morze baltyckie, téj kołyski państwa rosyjskiego, późniéj do Kijowa, siedziby pierwszych książąt i do Syberji, siedliska Tatarów i Mongołów, by tak studjować wszystkie przejścia ojczystych swych dziejów u ich źródła.

Jednakże ciężka choroba w skutek złamania nogi i śmierć żony (z domu Wagner) zniweczyła te zamiary. By przyjść do zdrowia musiał udać się za granicę. Pogodin zwiedził był już w młodszym wieku Niemcy, Francję, Anglję i Włochy. W Berlinie słuchał wtenczas wykładu Rittera, Boka, Bankiego i Sanviga. W Kopenhadze, za pomocą Fink Magnusen'a i Rafra, przeglądał starożytności skandynawskie i te swoje wycieczki opisał obszernie. W r. 1846 wyjechał do Szczecina a ztamtąd przez Marienbad i Cieplice udał się ku Dunajowi, aby się zapoznać bliżéj z życiem i obyczajami południowych Słowian. W Peszcie zaprzyjaźnił się z Kolar'em, zabawił kilka dni w Karłowicach u metropolity Rajaczyca i poznał w Bielogradzie dowódzców powstania serbskiego Petroniewicz'a, Garaszanin'a i innych, które to znajomości odnowił w r. 1849 w swéj późniejszéj podróży, podczas któréj zebrał także szczegółowe wiadomości o stanie Słowian w Austrji po wypadkach powstania z r. 1848, które późniéj podał do druku pod tytułem „Listy polityczne.“ W lecie 1856 był znów w Ems, Ostendzie, Stuttgardzie, Pradze i Wiedniu i przepłynął cały Dunaj, od źródła aż do ujścia.

Jeszcze rozleglejsze podróże odprawiał po własnym kraju. Od granicy polskiéj aż do Kaukazu, od Wołogdy aż do Odessy nie było ani jednego miejsca, któregoby Pogodin nie zwiedził, nie było klasztoru, któregoby archiwów nie przejrzał, bo głównym celem tych podróży

było nagromadzenie starożytności słowiańskich i rosyjskich, dla których nie szczędził ani kosztów ani trudów. Więc też w przeciągu lat dwudziestu pięciu uzbierał ich tak niezmiernie wiele, jak nikt dotąd.

Początek tych zbiorów Pogodina przypada razem ze śmiercią kanclerza Rumjanzow'a r. 1826 i z nabyciem przez rząd rękopismów i inkunabułów słowiańskich od hr. Tołstoja. Ci dwaj magnaci podniecali hojnemi dary zapał poszukiwania starożytności, gdy jednakże jeden z nich umarł a drugi stracił chęć do tego, zaczęli handlerze starożytności zgłaszać się do Pogodina, którego muzeum archeologijne wkrótce się w całéj Rosji wsławiło. Do powiększenia się tego przyczyniło się nietylko zamiłowanie Pogodina, ale i gorliwość jego rozlicznych korespondentów. Nietylko że wszelkie przedmioty tego rodzaju zakupowano w znaczniejszych miastach Rosji i Polski, ale zakupywano całe bibljoteki, jako to: Septajewa, Bolszukowa, Filatowa atc. Kabinet monet Medyncewa, papiery Stritera, Golibchowa, admirała Schirchowa i uczonego rusina Chodakowskiego; także przez rękopisma, które zgromadził akademik Strojew w swéj misji archeologijnéj i przez rozmaite starożytności znalezione w grobach Hunów.

Tak utworzył się zbiór, jaki się zapewne nigdy jeszcze nie znajdował w ręku prywatnéj osoby. Składał się bowiem z 2000 rękopismów, z których 78 pisanych było na pargaminie, około 1300 ksiąg, z których 600 w starosłowiańskiém kościelném piśmie, 500 oryginalnych dokumentów i jurystycznych aktów, znacznéj ilości autografów członków rodziny cesarskiéj, z mnóstwa listów i papierów rosyjskich dyplomatów, autorów i uczonych, 200 malowanych i 600 lanych wizerunków świętych, prawie 2000 sztuk pieniedzy, medalów, broni i ozdób z kurchanów i fińskich grobowców, rzadkich dziwnych sprzętów, rycin, drzeworytów. Pomiędzy rękopismami znajdowały się niektóre z X, XI i XII stulecia; z pomiędzy drukowanych nietylko utwory rosyjskiéj, polskiéj, serbskiéj typografji, ale też kosztowny zbiór wydań wenecjańskich, które po części przez samego Pogodina w jego podróżach po Europie, po części za staraniem Szafarzika, Hanki i Wuk Stefanowicza nagromadzone zostały. Oprócz tego zawierało to muzeum przeszło 200 sztuk unikatów i tysiące najrzadszych przedmiotów.

Podobny zbiór nagromadzić znowu byłoby zupełną niemożebnością, a pomimo tego groziło tym skarbom ciągłe niebezpieczeństwo ognia, ponieważ były złożone w domu drewnianym, jako też i to, że po śmierci ich posiedziciela rozproszone i podzielone zostaną pomiędzy jego spadkobierców.

Te powody zniewoliły Pogodina do ofiarowania ich rządowi, który je w roku 1852 zakupił za 150,000 rubli i jednę część ich umieścił w cesarskiéj bibljotece w Petersburgu, drugą w zbiorze sztuk pięknych w Moskwie. Pogodin wymówił sobie wolne używanie rękopismów i ksiąg potrzebnych mu do jego uczonych badań historycznych. Z otrzymanych zaś pieniędzy poświęcił 5000 rubli na wydanie katalogu.

Posiadając tak obfity materjał do badań historyjnych, Pogodin pracował pilnie około swojéj historji rosyjskiéj. Owoce téj pracy ukazały się najprzód w jego dziele „Iśledowanja, samjeczanja i lekcii“ (Śledzenia, objaśnienia i odczyty), z których trzy tomy wyszły z druku r. 1848. Zawierają one znane już dawniéj publiczności Monografje Nestora, kroniki rozszerzone nowemi uwagami, wykazującemi jak najzupełniéj ich autentyczność. Pogodin stwierdza świadectwami Plotinsa, Ihn-Forlana, Porphyrogeneta, Leo Diakonusa, Ditmara z Merzeburga i Cedrenusa, że ta kronika opowiada zdarzenia zgodnie z prawdą; wykazuje, że ona w żaden sposób późniéj pisaną być nie mogła jak w XII stuleciu i że pochodzi istotnie od zakonnika Nestora z klasztoru Peczarskiego w Kijowie, który spisywał wiernie co widział na własne oczy lub słyszał od ludzi wiarogodnych, czerpał swe wiadomości także z archiwów bułgarskich i greckich klasztorów, z powieści skandynawskich i pieśni słowiańskich.

W drugim tomie pisze Pogodin o pochodzeniu Waregów, w trzecim tomie opisuje zdarzenia okresu waregskiego czyli normandzkiego w historji rosyjskiéj i początki socjalno-politycznego istnienia Rosji, w porównaniu z Zachodem Europy. W roku 1850 wyszedł z druku tom czwarty, w którym mówi Pogodin o czasach feodalnych. W r. 1854 nastąpił tom piąty, szósty i siódmy o wojnach wewnętrznych, aż do napadu Tatarów i zawojowania Rosji przez następców Dżingis-Khana i o stósunkach ztąd wynikłych.

Do tych prac, do których przyłączony jest rozbiór krytyczny historji rosyjskiéj, dodał jeszcze badania historyjne o pierwiastkach systemu poddaństwa, które wyświecają pochodzenie tego stósunku i rozmaite jego modyfikacje.

Bardzo zajmujące są także Pogodina „Badania procesu carewicza Aleksego“, wydane w r. 1860, w których głównie występuje przeciw Ustralowa historji Piotra Wielkiego, i broni honoru tego nieszczęśliwego księcia.

W tym czasie Pogodin musiał stawać w obronie swego dzieła o pochodzeniu Waregów, przeciw hypotezie postawionéj przez Kostomarowa, wywodzącéj ich pochodzenie z litewskiéj Żmudzi i Samojedów. W Petersburgu mieli o tém publiczną desertacją ci dwaj uczeni, która wzbudziła w publiczności wielkie zajęcie, jednakże nie doprowadziła do celu, bo każdy pozostał przy swojém mniemaniu.

W mniemaniu polityczném trzymał się Pogodin wyraźnie strony panslawizmu, które też służy za podstawę wszystkim jego pracom literackim i politycznym.

Jako mówca odznaczył się Pogodin kilkakrotnie. W roku 1845 przy instalacji pomnika dla Karamzina w Simbirsku i w r. 1855 przy powitaniu powracającego z pod Sewastopola, wówczas bardzo słynnego jenerała Chruwolewa. Od r. 1836 jest on członkiem cesarskiéj akademji sztuk pięknych, a od r. 1852 radzcą stanu.

W roku 1818 ofiarował mu uniwersytet pragski przy obchodzie 500-letniéj rocznicy swego założenia tytuł doktora filozofji.

E. z K. P.

ROZMAITOŚCI.

Wysilenie się Bractwa Wzajemnéj Adoracji.

Bractwo Wzajemnéj Adoracji w Poznaniu znalazło nareszcie po długich obradach, jak się zdaje, najgodniejszego siebie adwokata, w pełnym nadziei, a żebrzącym chleba młodzieniaszku p. Jasieńczyku Wołowskim!...

Jego, godny zupełnie tego Bractwa, genjusz i cnoty — ukrywały dotąd szczęśliwie kulisy teatru poznańskiego!..

Ale w tych dniach wydało to ubogie w duchu Bractwo swym kosztem półarkuszowe cudo (według ich pojęcia) pod tytułem: „Obrona p. hr. Chotomskiego, redaktora Tygodnika Wielkopolskiego przez Jasieńczyka.“ Z polecenia tego poznańskiego areopagu obwieszczono plakatami drukowanemi pojawienie się tej ćwiartki ślicznie i na listowym drukowanéj popierze, na któréj się autor sili wywodzić: jako p. hr. Chotomski tylko może być — „warjatem!“ Szkoda że nie mamy zbytnich pieniędzy na zakupienie téj „Obrony“, bobyśmy ją chętnie dodali jako nadzwyczajny dodatek do niniejszego numeru Tygodnika. Za półzłotka można się atoli przekonać (jest do nabycia u p. Calliera, vis à vis hotelu francuzkiego na Wilhelmowskiéj ulicy), jak niedołężnie przeciw prawdzie walczy to Bractwo, choć ma na czele Dr. Szafarkiewicza, M. Łyskowskiego, Fajansa, Dobrowolskiego et consortes!

Prosilibyśmy was panowie o więcéj takich „Obron“, — bo najniezawodniéj, pod takim godnym was potentatem pióra, myśli, uczuć i charakteru, zmiażdżylibyście jeżeli nie — prawdę, — to przynajmniéj uczucie tych waszych ziomków, którzy was jeszcze cenią!..

Lecz nie!. tego wam nie życzymy.

Chwyćcież się skuteczniejszéj broni! Lepiéj skarżcie mnie do — prokuratorji!.. Jako rodak, dbały o pozory przynajmniéj waszéj godności, prosimy was — szukajcież zacniejszych, skuteczniejszych środków!

Wł. hr. Chotomski.

Nareszcie!

(Podziękowanie Orędownikowi).

Nareszcie Orędownik poczuł w sobie godność kapłaństwa redaktorskiego!

To dla naszéj sprawy wielkie zwycięztwo!

Martwiło nas to nie pomału, że Orędownik, a raczéj jego Redaktor, który złożył dowody wielkiéj odwagi cywilnéj i zdolności politycznego agitatora, — że on już jeżeli nie w sprawie Dr. Szafarkiewicza, swego protektora, — to przynajmniéj w innych sprawach dojrzeć powinien był, — że jeżeli z fałszywéj strony (co być może) uchwyciliśmy za utajone rany nasze społeczne, — to zawsze wykazaliśmy je w dobréj wierze i celem zagojenia ich.

Dotąd, oprócz „Ogniska“ — doznawaliśmy tylko od kolegów — złości lub lekceważenia!...

Mniejsza o naszą osobistość — ale spraw poruszanych, rzeczy saméj — nie godzi się pomijać.

Jeżeli jesteśmy „źle poinformowani“ czyli raczéj fałszywym echem Opinji publicznéj, należy się sumiennym rodakom sprostować to, co traktowano pokątnie, w poufałości, — a co traktowano tak jak rzeczy przedstawiamy, w kołach rodzin miejscowych i bardzo zacnych.

Myśmy się podjęli przywrócić potęgę Opinji publicznéj w naszém rodzinném nieomal gnieździe, we Wielkopolsce, — i przeprowadzimy tę potęgę do jéj tronu!...

To rzeczą tylko czasu — i to nie trudno!

Żeśmy zaś zaczęli burzyć zgniły parawan, minując jego podwaliny, — a nie zaczynając od góry, deseczka po deseczce, — to dla tego, że nam czasu szkoda. Niech rozwaliny rozniosą inni, i niech zużyją co zostało dobrego!

Burzymy i zburzymy tę niegodną nas tymczasową deskową budę szacherki, — żeby tamże uczciwy sklep dla krajowego handlu wystawić.

Bij na nas, Orędowniku! Bijcie wszystkie pisma perjodyjne, gdy tkniemy się czegoś zdrowego i wartego ażeby pozostało, — ale nie brońcie fałszu i plugastwa!

Pracujmy sumiennie, — bo na nas patrzy Bóg, a naszą pracę czy robotę — ocenią dzieje krajowe i powszechne!

Pracujmy — oparci na tradycji, i dla potomnych, dla ogółu.

To nasza powinność i to tylko nas zbawi!

Ognisko od 1 października stawa się pismem codzienném, pod redakcją i nakładem p. St. Sczanieckiego (z Karmina). Przedpłata kwartalna wynosić będzie od 1 października r. b.: w urzędach pocztowych państwa niemieckiego 1 tal. 15 sgr., w mieście Poznaniu 1 tal. 7½ sgr., w Austrji w c. k. urzędach pocztowych 1 tal. 15 sgr. lub wprost w ekspedycji 3 złr. 50 kr.

Bogu dzięki i szczęść mu Boże! bo to sumienne pismo!

Dziennik Mód, pismo dla Polek, wychodzące w Krakowie, przeszło na własność p. Adolfa Otręmby, xięgarza (dawniéj J. Wild).

Dziennik ten wychodzi co 5 i 20 każdego miesiąca i kosztuje 8 złp. kwartalnie z rycinami nie kolorowanemi, 12 złp. z rycinami kolorowanemi, a bez rycin tylko 4 złp.

Jak „Bazar“, „Haus und Welt“ i inne tego rodzaju pisma niemieckie, zajmuje się ten dziennik głównie strojami i dla objaśnień suto ilustrowany drzeworytami i arkuszem form do wykrawania. Oprócz tego ma i literackie artykuły.

Życzylibyśmy, ażeby Dziennik Mód doznał jak najliczniejszego u naszych dam poparcia, — ale jeszcze większą oddałby przysługę, gdyby mógł ten Dziennik zaprowadzić lepszego gustu mody, bo doprawdy — mody dzisiajsze francuzkie i niemieckie są tak szpecące, że żal patrzeć na ni w pięć ni w dziewięć najniezgrabniéj postrojone tyle urocze nasze Polki. Na przedniéj n. p. rycinie strój damy z pasem z góry na dół, przewiązanéj szarfą na połowie swéj wysokości, ma wszystkie warunki złego gustu — bo przesady i niestósowności.

Jak najuprzejmiéj upraszamy licznych nie uiszczających się ze zaległości (mianowicie od 1872 i 1873 r.) abonentów:

o łaskawe przesłanie pod naszym lub drukarni p. L. Merzbacha adresem — należytości za „Tygodnik Wielkopolski.“

Nie chcemy ani przypominać listownie, a tém mniéj ściągać pocztowemi zaliczkami tylu drobnych a licznych sumek. Gdyby komu za uciążliwém było na raz zapłacić po kilka talarów lub florenów, upraszamy chociażby o częściową upłatę znaczkami pocztowemi we frankowanym liście. Przepraszamy za to upominanie się, lecz każdonumerowe koszta 25 tal. gotówką zniewalają nas do tego kroku.

Redakcja.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Władysław hr. Chotomski. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Jedyny skład w Poznaniu w księgarni K. Rejznera (Chotomski).